

Jesse Bullington

Smutna historia braci Grossbart

(fragment)

I

Pierwsze bluźnierstwo

Stwierdzić, że bracia Grossbart byli okrutnymi i samolubnymi zbrojnymi, to obrazić nawet najwstrętniejszego rozbójnika, a nazwać ich krwiożerczymi świniami, to zniesławić nawet najpaskudniejszego wieprza. Byli Grossbartami do szpiku kości, i na wielu ziemiach ten tytuł po dziś dzień nie stracił nic ze swojego ciężaru gatunkowego. Choć nie byli tak odrażający jak ich ojciec, ani tak przebiegli jak ojciec ich ojca, okazali się znacznie gorsi od tych dwóch niewątpliwie potwornych mężczyzn. Krew potrafi się zepsuć na przestrzeni jednego pokolenia, ale może też, destylowana w ciągu stuleci, zamienić się w coś naprawdę najpodlejszego, i tak właśnie się stało w przypadku straszliwych braci-bliźniaków, Hegla i Manfreda.

Obaj byli średniego wzrostu, acz mizernej budowy. Manfred miał nieproporcjonalnie wielkie uszy, z kolei nos Hegla przyćmiewał rozmiarem i guzowatym kształtem niejedną rzepę. Miedziane włosy i krzaczaste brwi Hegla kontrastowały ze zmierzwionym srebrem na czaszce brata; obaj mieli policzki zapadnięte i dziobate od ospy. Przeżyli dopiero dwadzieścia pięć wiosen, ale wyhodowali brody tak wybitnej długości, że często nawet z niewielkiej odległości omyłkowo brano ich za starców. To zaś, który ma dłuższego, stanowiło przedmiot niekończącego się sporu między braćmi.

Zanim został złapany i powieszony w jakiejś ponurej wiosce daleko na północy, ojciec przekazał im tajniki rodzinnego fachu – zakładając, że rabowanie grobów można uznać za dochodowe zajęcie. Na długo przed czasami ich dziadka nazwisko Grossbart było synonimem najbardziej szemranych machlojek, ale dopiero kiedy cmentarze stały się czymś więcej niż nędznymi mogiłkami, ród odnalazł swoje prawdziwe powołanie. Ojciec porzucił rodzinę, zostawiając synów z matką, kiedy byli dość duzi, by unieść łom, i ruszył na poszukiwanie bogactw, tak samo jak zniknął jego ojciec, kiedy on sam był ledwie raczkującym złodziejaszkiem.

Więść niesie, że stary Grossbart zmarł bogatszy od króla w pustynnym kraju na południu, gdzie grobowce przewyższają najwspanialsze zamki świętego cesarstwa rzymskiego, zarówno pod względem rozmiarów jak i dostatków. To właśnie powiedział swoim synom młodszy Grossbart, ale wątpliwe, czy w tej paplaninie kryło się choćby najbardziej zasuszone ziarnko prawdy. Bracia głęboko wierzyli, że tatko dołączył do dziadka w Gipcie, a ich zostawił, żeby kiśli razem z zapitą i brutalną matką. Gdyby wiedzieli, że skończył bez grosza przy duszy jako karma dla kruków, wątpliwe, czy obraliby inną drogę życiową, ale może mniej przeklinaliby jego imię... albo bardziej, trudno orzec.

Stryj wątpliwego pochodzenia i kierujący się równie wątpliwymi motywami uratował ich przed obłąkaną matką i wziął pod swoje skrzydła w kluczowym okresie dla kształtowania ich charakterów. Niezależnie od rzeczywistego pokrewieństwa łączącego go z chłopcami, brodę miał niewątpliwie długą, i z gorliwością typową dla każdego Grossbarta rwał się do otwierania grobowców i kradzieży ponurych skarbów, jakie oferowały. Po kilku zbyt dramatycznych ucieczkach przed lokalnymi władzami, zbiegł nocą z całym dobytkiem, zostawiając braci bez środków do życia. Powrócili więc do matki z postanowieniem, że ukradną wszystko, czego pomarszczona stara pijaczka nie zgubiła albo nie sprzedała w czasie ich nieobecności.

Chałupa, w której się urodzili, postarzała się gorzej niż oni; omszały dach dołączył do klepiska, kiedy oni ze stryjem plądrowali przykościelne cmentarze wzdłuż Dunaju. W zatechłej budzie mieszkał tylko borsuk, którego Grossbartowie spożyli, odniósłszy uprzednio jedynie powierzchowne rany od pazurów zaspanego zwierza. Rozpytali się w stajniach dworskich i dowiedzieli, że ich matka wyzionęła ducha zimą i leży wraz z pozostałymi w kurhanie na końcu miasteczka. Plując na kopiec w strugach ulewy, bracia Grossbart poprzysięgli sobie, że spoczną we wspaniałych grobowcach niewiernych albo nie spoczną w ogóle.

Mając jedynie kapelusze z szerokim rondem, cuchnące odzienie i narzędzia pracy, ale ukontentowani widokiem zbiorowej mogiły, w której gniła ich nieszczęsna matka, podjęli przygotowania do podróży na południe. Taka ekspedycja wymagała czegoś więcej niż pary łomów i małego kawałka metalu, który kiedyś mógł być monetą, wyruszyli więc wyrównać stare porachunki. Błoto wciągało ich buty w próżnym wysiłku pokrzyżowania im nikczemnych zamiarów.

Gospodarz Heinrich przez całe życie hodował rzepę na poletku kawałek za murami miejskimi, a do jego niedoli przyczyniała się niewdzięczna uprawa i niskiej jakości żywopłot wokół pola. Jako chłopcy, bracia często podkradali mu niedojrzałe warzywa, dopóki pewnej nocy Heinrich nie zasadził się na nich. Nie ukontentowało go użycie witki czy własnych rąk – słusznie rozgniewany, sprzął obu łopatą. Wgnieciony nos Manfreda nigdy nie odzyskał normalnego kształtu, a lewy pośladek Hegla zawsze już nosił wcięte piętno hańby.

Kiedy chłopcy zniknęli, dla Heinricha nadeszły lata urodzaju, zarówno na roli, jak i w łozu, które dzielił z żoną i dziećmi. Dwie młodsze córki dołączyły do starszej siostry i brata, a starzejący się gospodarz nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł wykorzystać do pracy kolejne ręce. Zaoszczędził dość, żeby kupić zdrowego konia na miejsce starej szkapę i zwrócił prawie całą sumę swojemu przyjacielowi Egonowi za wóz, który ten dla nich zbudował.

Bracia Grossbart brnęli przez pole w stronę ciemnego domu, a deszcz przesłaniał wszelkie resztki księżycowego światła skrytego za chmurami. Jednakże ich oczy od dawien dawna nawykły do nocy i widzieli jak na dłoni, że gospodarz wznosił małą stajenkę obok domu. Zgodnie splunęli na drzwi i szczerząc do siebie zęby w uśmiechu, zaczęli walić pięściami w deski.

– Gore! – wrzasnął Manfred.

– Gore! – powtórzył Hegel.

– Heinrich, pali się w mieście!

– Zbierz wszystkich do pomocy, Heinrich!

Śpiesząc sąsiadom na pomoc, Heinrich wyturlał się z łóżka, nieświadomy deszczu bębniącego o dach, i z impetem otworzył drzwi. Trzaskający płomyk ogarka z knotem z sitowia w jego ręce oświetlił nie twarze zatroskanych mieszczan, lecz pożłobione bliznami oblicza braci Grossbart. Heinrich natychmiast ich rozpoznał, z krzykiem wypuścił świeczkę, i spróbował zatrzaskać drzwi.

Grossbartowie byli za szybcy i wywlekli go na ulewę. Gospodarz zaatakował Hegla, ale Manfred kopnął go w tył kolana, zanim tamten zdążył wymierzyć cios. Heinrich obrócił się, upadając, i próbował złapać Manfreda, ale wtedy Hegel zadał mu potężny cios w szyję. Heinrich miotał się w błocie, a bracia go katowali, ale kiedy już tracił nadzieję, gdy krwawił z ust i nosa, z domu wyszła jego żona Gertie z siekierą.

Gdyby nos Manfreda nie był aż tak płaski, ostrze by go rozłupało, kiedy kobieta poślizgnęła się na błocie. Hegel rzucił się na nią i oboje tarzali się w błocku, gdy Heinrich jęczał, a Manfred przechwycił siekierę. Gertie ugryzła Hegla w twarz i rozorała mu paznokciami ucho, ale wtedy on zobaczył, że brat unosi siekierę, więc odturlał się, a ostrze spadło na plecy kobiety. Przez cienką warstewkę błota na twarzy Heinrich patrzył, jak żona kopie

konwulsyjnie nogami i sika pod siebie; deszcz przechodził w mżawkę, kiedy wykrwawiała się w błocie.

Obaj bracia nigdy dotąd nikogo nie zabili, mimo to żaden nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu ohydnej zbrodni. Heinrich podpełzł do Gertie, Hegel poszedł do stajenki, a Manfred wszedł do domu tonącego w łzach dzieci. Hegel zaprzął konia do wozu, do którego wrzucił łopatę Heinricha i poręczny worek rzepy, po czym wyprowadził zwierzę przed dom.

Tymczasem w ciemnym domu najstarsza córka Heinricha rzuciła się na Manfreda z nożem, ale on przerwał jej szarżę siekierą. Co prawda zdecydował się miłosiernie przyłożyć jej obuchem, ale metal strzaskał jej czaszkę i dziewczyna padła. Dwa maluchy płakały w łóżku, jedyny syn Heinricha kulił się za leżącą siostrą. Manfred przywahał łójówkę obok stosiku świec z knotem z sitowia, schował ten rarytas do kieszeni i od węgielków na palenisku zapalił jedną z pokrytych tłuszczem świec. Rozejrzał się po wnętrzu.

Ściągnął koce z łóżka i dzieci, dorzucił ogarki, kilka znalezionych noży i bulwy piekące się na palenisku, po czym związał toból sznurkiem. Zgasił świeczkę, schował do kieszeni i przeszedł ponad płaczącym chłopcem. Koń i furmanka już czekały, ale nigdzie nie było widać Hegla i Heinricha.

Manfried rzucił skradzione koce na furę i rozejrzał się; jego wzrok natychmiast przystosował się do mżawki i ciemności. Wypatrzył Heinricha pięćdziesiąt kroków dalej. Ślizgał się, uciekając przed ścigającym go w milczeniu Heglem. Hegel skoczył, żeby złapać go za nogi, ale nie trafił i wylądował twarzą w błocie, a Heinrich popędził w stronę mias-teczka.

Składając dłonie przy ustach Manfred ryknął:

– Mam tu maluchy, Heinrich! Wracaj! Ucieknij, to już po nich!

Heinrich przebiegł jeszcze kilka kroków, zanim zwolnił; znalazł się na granicy pola widzenia Manfreda. Hegel wstał i spojrzał wilkiem na chłopca, ale wiedział swoje i nie ryzykował, że go spłoszy, rzucając się znowu do pogoni. Wrócił pośpiesznie do brata i mruknął mu coś do ogromnego ucha. Heinrich brnął z powrotem w stronę gospodarstwa.

– Ma za to zapłacić – mruknął Hegel. – Nieodwołalnie.

– Ściągnąłby na nas całe miasteczko – przytaknął mu brat. – Nieładnie, i to po tym, jak jego żona próbowała nas zamordować. – Manfred dotknął dawno zagojonego nosa.

– My żeśmy tylko wyrównywali rachunki, po co mieszała do tego siekierę? – Hegel pomasaował pośladek z blizną.

Heinrich podszedł do braci, pojmując ich słowa ledwie na podświadomym poziomie. Każdy dobry gospodarz kocha syna bardziej nawet niż żonę, a Heinrich wiedział, że Grossbartowie zamordowaliby małego Brennena bez chwili wahania. Wyszczerył zęby w maniackalnym uśmiechu, myśląc o tym, jak nazajutrz całe miasteczko zjednoczy się wobec jego straty, jak odnajdą te psy i powieszą na szubienicy.

Rzucił Hegłowi pogardliwe spojrzenie, ale ten odwzajemnił się tym samym i uderzył go prosto w nos. Heinrichowi w głowie się zakręciło, gdy poczuł, że obwiązują go jak zbuntowaną maciorę i sznur wgryza mu się w kostki i nadgarstki. Dotarło do niego jak przez mgłę, że Manfred wrócił do domu, ale zaraz oprzytomniał, gdy wejście do domu rozbłysło światłem. To Manfred rzucił kilka węgielków na słomę na łóżku. Płacz małych dziewczynek przybrał na sile, kiedy łóżko stanęło w płomieniach. Manfred wyszedł z domu z pogrążonym w katatonicznym stuporze Brenninem w jednej ręce i z rzepą w drugiej.

– To nie musiało tak się skończyć – powiedział. – Sam żeś nas do tego przymusił.

– Drugi raz żeś nas pokrzywdził – poparł brata Hegel.

– Błagam. – Heinrich strzelał przekrwionymi oczami, patrząc to na drzwi, to na syna. –

Przepraszam was chłopcy, naprawdę. Puśćcie go i oszczędźcie maluchy. – Dzieci krzyczały coraz głośniej. – Na Boga, okażcie miłosierdzie!

– Miłosierdzie to cnota, jak należy – powiedział Hegel, pocierając drewniany wizerunek Najświętszej Pani, który zerwał ze sznurka na szyi Gertie. – Okaż miłosierdzie, bracie.

– Słuszne słowa, w rzeczy samej – zgodził się Manfred, delikatnie stawiając chłopca na ziemi przed ojcem.

– Tak – wykrztusił z siebie Heinrich, a łzy zmywały błoto z jego dumnych policzków. – I dziewczynki, proszę, wypuście je!

– One są już w drodze – powiedział Manfred, patrząc na kłęby dymu bijące z dachu, i poderżnął chłopcu gardło.

Jeżeli Hegel uznał jego wyrok za surowy, nie zdradził się słowem. Noc okradła krew z sakramentalnej barwy – czarny płyn zbryzgał twarz Heinrichowi. Brennen upadł przed siebie. Jego pomieszany wzrok łamał ojcu serce, a usta poruszały się bezgłośnie w błocie.

– Błogosławiona Maryja – zaintonował Hegel, całując skradziony wisiołek.

– I my razem z nią – dokończył Manfred, pogryzając ciepłą bulwę.

Dzieci w płonącym domu ucichły, kiedy Grossbartowie wyjeżdżali z podwórza, Hegel konno, a Manfred na furze. Wbili Heinrichowi rzepę w usta, pozbawiając go nawet możliwości modlitwy. Skręcili na ścieżkę prowadzącą w góry, na południe. Deszcz ustał, gdy bracia jakby nigdy nic uciekli z miejsca zbrodni.

## II

### Kanalie na wolności

O świcie zgliszcza domu Heinricha tliły się i buchającymi w niebo kłębami dymu przyzywały krzepkich mieszkańców miasteczka. Godzinę później większość z nich odzyskała pewność siebie, którą utraciła na widok jatki. Mimo jego protestów, Heinricha odesłano do miasteczka, by rozgrzał kości i brzuch, jeśli nie duszę, a pół tuzina mężczyzn, tworzących lokalny sąd przysięgłych, ruszyło na południe. Pożyczyli konie różnej wartości, wzięli jedzenie na dwa dni, a rządcą Gunter przyprowadził swoje trzy najlepsze ogary. Przekonał także swojego pana, że trzeba pożyczyć ławnikom kilka kusz i miecz, a pozostali zabrali wszelką broń, jaka im wpadła w ręce, chociaż wszyscy zgodzili się, że zbiegów należy przyprowadzić żywych, żeby Heinrich mógł zobaczyć, jak ich wieszają.

Gunter dobrze znał nazwisko Grossbart i przeklinał siebie za to, że nie przeczuł kłopotów, kiedy poprzedniej nocy bracia zjawili się w rezydencji. Pocieszał się świadomością, że żaden dobry człowiek nie mógł przewidzieć takiego zła. Miał jednak żonę i trzech synów, i chociaż nie zaliczał Heinricha do grona najbliższych przyjaciół, uważał, że żaden człowiek nie zasługuje na taką stratę. Podeśle swoich chłopców, żeby pomogli Heinrichowi w następnej porze siewu, wiedział jednak, że to marny substytut własnego potomka.

Jechali tak szybko, jak pozwalały im szkapy, całkiem sprawnie pokonując pola i przedgórza. Wiatr chłodził ławników, ale słońce wypaliło ponure chmury i wysuszyło błoto, a pozostawione w nim koleiny współpracowały z psami, gwarantując im, że nie zgubią tropu. Nawet gdyby zabójcy uciekali bez chwili spoczynku, Gunter wiedział, że nadal mają szansę dogonić ich przed zachodem słońca. Modlił się, by widząc ich przewagę liczebną, bracia się poddali, ale wątpił w taki rozwój wypadków. W końcu byli Grossbartami.

I jako Grossbartowie, Hegel i Manfred wiedzieli swoje i nie odpoczywali, tylko niemal całkowicie zajeździli konia i zatrzymali się dopiero przed świtem. Nawet gdyby chcieli jechać dalej, ścieżka zniknęła wśród ciemnych drzew i pozostała niewidzialna aż do piania kogutów. Dotarli do gęstego lasu, który oddzielał prawdziwe góry od pofalowanych wzgórz ich dzieciństwa. Manfred znalazł strumień, gdzie napoił okrytego pianą konia. Otarł go, kiedy brat już spał, i hojnym gestem zaoferował mu rzepę. Koń jednak pokręcił na nią nosem i

zamiast tego poskubał nieliczne źdźbła trawy rosnące na skraju lasu, zanim także zamknął oczy.

Manfried obudził obu, kiedy słońce wstało. Hegel zaprzągnął konia, a jego brat wystrugał sobie grzebień do brody z gałęzi olchy. Wkrótce jechali krętą, kamienistą ścieżką, nie nadającą się dla chłopskiego wozu. Obaj szarpali i czochrali sobie brody, jadąc przed siebie powoli, a ich umysły zaprzętała jedna kwestia.

– Może być, że pojechali na wschód – powiedział Hegel po paru godzinach.

– A tam – prychnął Manfried, zatrzymując wóz, żeby ściągnąć ze ścieżki odłamany konar. – Domyślą się, żeśmy ruszyli prosto na południe, toć w okolicy nie ma innych miasteczek.

– No to pewnie właśnie nas doganiają – burknął Hegel.

– O ile ten psubrat nie uwolnił się pierwej, do tej pory ani chybi ktoś już go znalazł. Musi być, darł się całą noc. Byłbym jemu też poderznął gardło, to nie wrzeszczałby o pomoc.

– A pewnie, ale wtedy nie zostałby nikt, komu moglibyśmy udzielić nauki, a poza tym żeśmy mu zostawili kawał rzepy do zgryzienia.

– Co racja, to racja – zgodził się Manfried.

– Zatem ani chybi jadą naszym tropem.

– A pewnie – powiedział Manfried – a że mają tylko konie, dogonią nas na odwieczarz.

– O ile nie szybciej. – Hegel splunął na zdyszanego konia.

– Trza było nie brać wozu – zauważył Manfried.

– Chcesz sam ponieść te koce? I wszystkie rzepy? Pięknie dziękuję. Wóz to jedyny pożytek z konia. Bo ma go kto ciągnąć.

Hegel nigdy właściwie tego nie wyjaśnił, ale zawsze podchodził nieufnie do czworonogów.

Po prostu miały za dużo nóg, uznał.

– A pewnie, i jak myślisz, co będziemy jedli, gdy już skończą się rzepy?

– Racja, racja.

Bracia zaśmiali się, ale Manfried zaraz spoważniał.

– Czyli mamy przewagę i możemy ją wykorzystać, bo my są z przodu, a oni z tyłu. Co powiesz na to, cobyśmy podjechali wozem kawałek naprzód, przywiązali konia do drzewa i wycięli sobie drogę przez las? Moglibyśmy się na nich zasadzić.

– A tam, nie dość chytrze. Jużem wypatrzył między drzewami, że ścieżka zaczyna się wspinać zygzakiem po zboczu. Tam zaczekamy. Wyższy teren, bracie, to jedyna przewaga, na jaką możemy tu liczyć.

– Właściwie wszystkie chwytły dozwolone. To ja wystrugam nam parę dzid.

Manfried zeskokczył z fury i szedł obok niej, rozglądając się po zaroślach w poszukiwaniu stosownych konarów. Zdradziecka ścieżka odradzała pośpiech, więc spokojnie nadażał.

Wrzucił na wóz kilka długich gałęzi, wrócił na swoje miejsce i zabrał się do roboty.

Gunter zatrzymał ławników w miejscu, w którym ścieżka zaczynała się wspinać po zboczu zakosami, i tylko dzięki wędrownym myśliwym i ich bardziej rozsądnej zwierzynie nie pochłonęła jej całkowicie gęstwina. Chociaż kolosalne drzewa osłaniały ich przed lawiną, ograniczona widoczność umożliwiała ściganym urządzenie dowolnej liczby zasadzek. Psy przysiadły na tyle daleko od koni, na ile pozwalały im postronki, a Gunter zsiadł z wierzchowca, żeby je napoić.

Przed nocą ławnicy ledwie zdążą dotrzeć do przełęczy. Z ciężkim westchnieniem Gunter spuścił ze smyczy ogary i patrzył, jak podekscytowane śmignęły ścieżką w górę. Miał nadzieję, że dogonią morderców przed początkiem wijącego się szlaku, ale ławnicy jechali przez las powoli, na wypadek gdyby Grossbartowie zeszedli ze ścieżki. Chociaż bracia mogli zbiec stokiem, zamiast zacząć się przy drodze, Gunter w to wątpił. To byli bezwzględni ludzie. Jedyna przewaga – poza liczebną – jaką mieli mieszkańcy miasteczka, to kilka godzin snu poprzedniej nocy.

– Jedźcie najszybciej jak zdołacie – zawołał – ale trzymajcie się w odległości kilku długości konia od ściganych!

Gęsty las ustąpił osypisku i wytrzymałym sosnom, które na pozór wyrastały prosto ze skały. Zachodzące słońce błyszczało na ścieżce, którą w ciągu tygodnia pobielił śnieg. Każdy mężczyzna prócz broni dźwigał ciężkie brzemie strachu. Gunter ruszył pierwszy, tuż za nim jego siostrzeniec Kurt, potem Egon cieśla i chłopci: Bertram, Hans i Helmut. Psy ujadły, pędząc przodem. Gunter odprowadzał je wzrokiem wzdłuż trzech zakrętów drogi, aż wspięły się tak wysoko, że zniknęły mu z oczu.

Najbardziej stromy odcinek szlaku znajdował się w pobliżu szczytu, za nim pochyłość zmniejszała się i prowadziła na przełęcz. Przy ostatnim zakosie Manfred czekał z wielkim stosem kamieni i dzidami, a uschnięte drzewo i niewielki głąz zapewniały mu osłonę. Brązowa trawa pokrywała zbocze tam, gdzie nie było piargów i skalnych półek, a na ścieżce w połowie drogi do następnego zakrętu Hegel kończył swoje zadanie, pomagając sobie łopata i łomem. Podważył kamienie i wykopał spod nich zbitą ziemię, żeby w krótkim czasie przygotować jak najwięcej dziur, w których konie mogą połamać sobie nogi, a teraz uwijał się, maskując je suchą trawą. Ogary pędzące ścieżką poniżej były zbyt zdyszane, żeby szczekać, ale mimo to Hegel wyczuł ich obecność.

Pogardzał psami bardziej niż wszystkimi innymi czworonogami razem wziętymi. Zważył w rękę łopatę. Ogary dostrzegły ofiarę i natychmiast ją dopadły. Pierwszy pies dostał łopatą w czoło i poturlał się na bok, ale zanim Hegel zdążył wziąć drugi zamach, skoczyły na niego pozostałe dwa. Jeden nie trafił zębami w ręce, którymi Hegel młócił powietrze, i wylądował za nim, drugi uczepił się kostki. Tracąc równowagę, Grossbart uderzył łopatą w kark psa uczepionego jego nogi i strzaskał mu kręgosłup. Jednakże ten śmiercionośny cios nie oderwał parszywego kundla od kostki – zęby nadal tkwiły w ciele Hegla.

Manfried zagryzł usta, zerkając to na brata, to na jeźdźców, których dostrzegł na serpentynach poniżej. Hegel obrócił się, kiedy pies za jego plecami skoczył; sparował jego atak trzonkiem łopaty, ale stracił przy tym równowagę. Upadł. Widząc, że Hegel potyka się o martwego psa uczepionego jego nogi, Manfred ześlizgnął się zboczem. Ogar, którego Hegel powalił pierwszego, stanął na nogi w tej samej chwili, gdy Manfred zeskoczył na szlak z łomem w rękę.

Manfried słyszał jeźdźców, ale wyciągnięty jak długi Hegel słyszał tylko warczenie psa rzucającego mu się do twarzy. Hegel szarpnął się do tyłu, więc ogar tylko rozdarł mu ucho i skórę głowy, a żeby dać świadectwo swojej bezdennej nienawiści dla tego zwierzęcia, zacisnął obie ręce na jego tułowiu i wgrzyzł się w wyliniałe futro na gardle. Oglupiały pies skamlał i próbował się wyrwać, ale Hegel tylko przyciągnął go do siebie, przegryzając się przez futro i wbijając zęby w mięso. Dławiąc się ubłoconym, cuchnącym psem, otworzył szerzej usta i zacisnął zęby na żyłach.

Zsuwając się po stoku, Manfred owinął kawałem koca lewe przedramię i teraz spokojnie judził rannego przeciwnika, żeby rzucił się do gryzienia. Zachęcał psa, aż ten rzucił się na wabiącą kończynę i kiedy tylko ogar zacisnął zęby, Manfred roztrzaskał mu łeb łomem.

Wsunął broń za pasek, dźwignął drgającego psiego trupa i podbiegł do skraju ścieżki. Rozpoznał Guntera na szlaku poniżej, więc cisnął w niego martwym ogarem i czmychnął ścieżką w górę do swojej kryjówki.

– Ruszcie nogami, bracie! – wydyszał w przelocie.

Hegel wylał szczękę zamordowanemu u kostki kundlowi; ogar z przegryzionym gardłem gwałtownie wykrwawiał się na ziemi obok. Słyszając tętent kopyt, Hegel jak najszybciej pokuśtykał za bratem. Ponieważ wybrali to miejsce na zasadzkę ze względu na pionowe ściany i strome podejście, Hegel nie miał nadziei na dotarcie do zakosu, za którym zniknął Manfred, zanim dościgną go jeźdźcy. Rzucił się za głąz w chwili, w której Gunter wyłonił się zza zakrętu w dole.

Ulubiona suka Gunteraomal nie straciła go z konia, a gdyby wierzchowiec był wypoczęty, z pewnością by poniósł, spanikowany. Z tuniką śliską od psiej posoki i z posiniaczonym ramieniem, Gunter szturchnął piętami konia i krzyknął do swoich ludzi:

– Chłopaki, mamy ich!

Widząc, że następny odcinek szlaku jest pusty – nie licząc kolejnego zabitego ogara i paru głązów – Gunter ponaglił konia na podejściu. Zwinny ogier ominął dziury wykopane przez Hegla i przemknął obok przyczajonego Grossbarta, docierając do następnego zakrętu. Gunter dostrzegł Hegla kątem oka, ale zanim zdążył zawrócić, mordercy wykonali swój ruch.

Jadący za wujem Kurt zobaczył Hegla w chwili, w której łopata wbiła mu się w miednicę i wyrzuciła go z siodła. Zaskoczony koń stanął dęba, cofnął się, noga mu wpadła do dziury, złamał pęcinę, padł i przygniótł Kurta, zanim chłopak zdążył mrugnąć. Zwierzę kopało i miotało się oszalałe, przyszpilając chłopaka i miażdżąc mu nogi. Hegel zobaczył kolejnego jeźdźca mijającego zakręt, więc truchcikiem obiegnął przewróconego konia, żeby pozbawić uwięzionego jeźdźca kuszy, która wylądowała na ziemi poza zasięgiem Kurta. Chłopak, rzecz jasna, nawet tego nie zauważył z racji upadku, który pozbawił go tchu w piersi, połamanych nóg i konia, który na kamiennej ścieżce rozgniał mu dolną połowę ciała na miazgę.

Kusza, z której Gunter wycelował w Hegla, z brzękiem upadła na skały, kiedy kamień ciśnięty przez ukrytego Manfreda trafił niedosłzłego strzelca w skroń. Z okiem zalanym krwią, Gunter szybko zsiadł z podenerwowanego konia, chowając się za nim przed niewidocznym napastnikiem. Chwycił kuszę, kiedy kolejny kamień uderzył w konia wystarczająco mocno, by zwierzę skoczyło w górę ścieżki, i zdążył wypuścić wodze, dzięki czemu wierzchowiec nie pociągnął go za sobą. Ładując kolejny belt, zmrużył zdrowe oko i wypatrzył Manfreda w zapadającym zmroku.

Egon zatrzymał się na zakręcie, wstrząśnięty widokiem konia Kurta miotającego się na chłopcu, i ciemnej postaci, która przyczaiła się obok. Nie bardzo wiedząc, co robić i mając za jedyne uzbrojenie siekiere, zsiadł z konia i przywiązał go do karłowatego drzewka. Bertram przejechał obok zdezorientowanego cieśli, zmuszając swojego wierzchowca do biegu tak bliskiego galopowi, jak to było możliwe na stromym szlaku. W przeciwieństwie do pozostałych, nie pierwszy raz brał udział w podobnym pościgu i nie miał wątpliwości, co należy robić: skoro zobaczył Grossbarta, to Grossbarta strąca.

Hegel uniósł kuszę Kurta, która jakimś cudem przetrwała w nienaruszonym stanie, ale nie była naładowana. Bertram jechał prosto na niego; Hegel czekał, napinając mięśnie. Kiedy jeździec znalazł się tuż-tuż, Grossbart zanurkował do tyłu między mlóćącymi powietrze nogami wierzchowca Kurta i przeturlał się przez ścieżkę. Bertram spiął konia, by przeskoczyć nad okaleczonym krewniakiem, ale ogłupiałe zwierzę zamiast skoczyć skrzyło, starając się ominąć przeszkodę. Wąski skraj ścieżki oberwał się pod kopytami i przez chwilę zdawało się, że mężczyzna i koń jadą prosto w dół po zboczu, zanim runęli, koziołkując bezwładnie w stronę ścieżki poniżej.

Manfried wiedział, że Gunter ma nad nim przewagę, ale zaryzykował i wypadł z chuderlawego krzaczka, wyskakując przed spłoszonego konia i szturchając go w nos dzidą. Zwierzę stanęło dęba i popędziło z powrotem w dół ścieżki. Mimo konia między nimi, obaj mężczyźni wystrzelili swoje pociski i obaj trafili w cel ze zdumiewającą precyzją – Manfred przewrócił się, kiedy belt trafił go w głowę, a ogłupiały koń wściekł się, kiedy rzucony kamień trafił go prosto w podrygującą w pędzie mosznę. Gunter próbował uskoczyć przed oszalałym ogierem, ale zwierzę zrzuciło go ze ścieżki, gdy wpadło w poślizg na zakręcie. Hegel wyszczerzył zęby, kiedy Bertram z przedśmiertnym krzykiem spadł ze stromizny, ale zaraz mina mu zrzędła, kiedy za jego plecami rozległ się stukot twardych kopyt. Zwinął się w kulkę, gdy wpadł na niego pozbawiony jeźdźca wierzchowiec Guntera. W przeciwieństwie do konia Bertrama, ten przeskoczył nad miotającym się ogierem, który blokował ścieżkę, i

popędził ku pozostałym trzem mężczyznom. Przy okazji tylnymi kopytami zmiażdżył pierś Kurtowi, któremu ustami i nosem buchnęła krwawa piana.

Hans i Helmut patrzyli oniemiała, jak najpierw koń Bertrama, a potem Guntera ściągnęły zgubę na swoich jeźdźców. Drugi z wierzchowców śmignął obok nich, zbiegając ścieżką. Kierując się zdrowym rozsądkiem, przywiązali swoje konie do tego samego drzewa co Egon, i ostrożnie podeszli do Hegla. Widząc, że nie mają kuszy, Hegel obszedł leżącego konia i zaczął przeszukiwać martwego już Kurta, licząc na to, że znajdzie bełty. Spod boku zwierzęcia wystawała lotka, więc zacierając zakrwawione ręce, Grossbart uklęknął obok Kurta i spróbował wyciągnąć przygnieciony bełt.

– Dychasz jeszcze, bracie? – krzyknął, zerkając przez ramię i upewniając się, że żaden z trzech mężczyzn nie podkradnie się do niego zbyt szybko.

– Silnym jak moja wiara! – odkrzyknął Manfred, który wreszcie odciął grot bełtu przesywającego mu prawe ucho.

Policzek i skórę głowy miał rozorane drzewcem, bo bełt przebił się przez ucho aż po lotkę.

Kiedy pozbył się grotu, wyciągnął pocisk z krwawej masy na boku głowy i wstał.

Gunter jęczał, podciągając się jedyną zdrową ręką z powrotem na ścieżkę. Lewą złamał na kamieniu, kiedy sturlał się po stromym zboczu, zdążył jednak prawą złapać się gałęzi, zanim siłą rozpędu przekoziółkował w dół aż do samego podnóża góry. Zanim własny koń zepchnął go ze szlaku, zobaczył jeszcze, że Manfred oberwał bełtem w twarz i nie pojmował, jakim cudem tamten człowiek nadal oddycha.

– Rzuć broń! – warknął Hans do pleców Hegla.

– Nie masz dokąd uciec – poparł go Helmut, chociaż w jego głosie nie dało się usłyszeć podobnej pewności siebie.

– Tak jak wy – warknął Hegel, zapierając się nogą o łuk kuszy i naciągając cięciwę.

Włożył uwolniony bełt do kuszy i wstał, obracając się jednocześnie. Trzej mężczyźni znajdowali się raptem kilka kroków dalej, ale wszyscy przystanęli na widok Hegla, który upiornie się prezentował z krwią kapiącą z ust i brody. Wyglądał, jakby pożywił się Kurtem; Egon zakwilił.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, a Egon zaczął się ukradkiem cofać. Hans i Helmut posłali sobie spojrzenie, które Hegel natychmiast rozpoznał i zanim którykolwiek zdążył się ruszyć, Hegel strzelił w krocze Hansa. Helmut rzucił się na Grossbarta z siekierą, ale ten cisnął mu kuszę prosto w nogi i Helmut się potknął. Hegel wyciągnął łom i zaszarżował ścieżką w dół, ale przystanął nagle, kiedy Helmut podniósł się na kolano i zaczął wywijać siekierą. Stał chwiejnie, a Hegel zrobił jeszcze jeden, ostrożny krok do przodu.

– Na mojej siekierze jest krew, a na twojej? – zapytał zza pleców Hegla Manfred.

Obszedł leżącego konia i zważył w dłoni broń, z którą w nocy zasadziła się na niego Gertie.

Stał obok brata; razem Grossbartowie prezentowali się bardziej złowieszczo i niebezpiecznie niż każdy z osobna.

– Zapomnij o zdrowym rozsądku i spróbuj nas obu zabić. – Hegel skinął głową na Hansa, który szarpał się na ziemi, gwałtownie łapiąc powietrze i ściskając bełt wystający z krocza. – Chcesz dostać to samo co on? Ten gadał, że chce, ale chyba się pomiarkował.

– My do ciebie nic nie mamy – powiedział Manfred i obaj Grossbartowie zrobili krok do przodu. – Ale jak trza, to zabijemy bez mrugnięcia okiem.

Już i bez tego przerażony, przypominając sobie widzianą tego ranka jatkę w gospodarstwie, Helmut rozluźnił uścisk na siekierze. Hans jęknął obok niego i Helmut znowu zacisnął dłoń, dochodząc do wniosku, że lepiej nie ufać Grossbartom. Cień przesunął się za plecami braci i Helmut wbrew sobie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Hegel wyczuł niebezpieczeństwo w kościach i obrócił się akurat, kiedy Gunter niezgrabnie uniósł miecz. Cios, który miał być śmiertelny, rozciął tylko Heglowi wargę i policzek.



Rozwścieczony Grossbart zaatakował łomem. Trafił w złamaną rękę. Gunter padł na kolana i zawył z bólu.

Manfried i Helmut nie oderwali od siebie wzroku ani na chwilę, i obaj zaatakowali. Helmut uderzył z góry, a Manfried z boku, ale ostrza siekier wpadły na siebie, zamiast trafić w ciało. Ból przeszył rękę Helmuta aż po łokieć, lecz tęgi chłop utrzymał broń w dłoni, podczas gdy siekiera -Manfrieda smyrnęła po skałach, a on sam opadł na kolano pod wpływem siły zderzenia.

Helmut zamachnął się po raz drugi, ale Manfried skoczył, uderzając go ramieniem, zanim ostrze opadło. Przeturlali się w dół ścieżki, rozdzieleni trzonkiem siekiery. Helmut wyhamował z poślizgiem, obezwładnił Grossbarta i przydusił go drewnianym trzonkiem. Manfried szukał po omacku noża przy pasie, ale Helmut kolanem przycisnął mu łokieć do ziemi. Trzonek siekiery wrzynał się Manfriedowi w gardło, wyrywając brodę. Oczy wyszły mu na wierzch, gdy niewiele brakowało, by tchawica mu się zapadła.

Charcząc pod trzonkiem i widząc czarne plamy przed oczami, Manfried macał drogę wolną ręką, aż wygrzebał solidny kamień. Zdzielił nim Helmuta w ucho z niespodziewaną siłą pochwyconej w sidła łasicy. Tamten zamrugnął, a gdy kamień trafił go po raz drugi, osunął się twarzą do przodu.

Wyszarpnąwszy drugą rękę, Manfried wsunął ją pod trzonek siekiery, wreszcie torując powietrzu drogę do swojego ciała. Leżąc pod Helmutem, nadal grzmocił go po głowie, aż czaszka pękła i Manfrieda obryzgały płyny. W końcu sturlał chłopca z siebie i wstał niezbornie tylko po to, żeby usiąść na ciepłym trupie.

Hegel dobił Guntera jednym ciosem w skroń, uwalniając mózg z czaszki. Rzucił się bratu na pomoc, ale w Hansie ostała się jeszcze odrobina woli walki, kiedy więc Hegel przebiegał obok niego, złapał go za zranioną kostkę. Grossbart szybko odzyskał równowagę i zapomniawszy, że tuż za nim brat właśnie się dławi, zaczął kopniakami wypędzać resztki życia z Hansa, większość ciosów kierując w drzewce wystające mu z krocza.

– Uciekł – wydyszał Manfried za jego plecami, przywracając Hegla do rzeczywistości.

– Hm? – burknął Hegel.

– Tamten. Pojeb. Zwiął. – Manfried miał trudność z wypowiedzeniem więcej niż jednego słowa między kolejnymi oddechami. Machnął na ścieżkę. – Konie. Też. Skurwysyn.

Mrużąc oczy, Hegel ledwie dostrzegł zakręt ścieżki, przy którym trzech mężczyźni uwiązali konie. Mimo obaw, że Grossbartowie to demony i lęku o własną duszę oraz życie, Egon zachował dość rozsądku, żeby odwiązać pozostałe konie i pognać je ścieżką w dół.

Odwróciwszy się do Manfrieda, Hegel zobaczył szeroką fioletową pręgę opuchlizny na szyi brata.

– Tylko tyle ci zafundowali? Naszyjniczek za tyle zachodu? – Hegel wysunął zakrwawioną nogę. – Mnie pochlastali facjatę, pogryzły mnie psy, potem pocałowałem ziemię, a ty sobie siedziałeś śliczniutko za zakrętem.

– Co. Jest? – Manfried przechylił przebite i rozdarte ucho. – Nie. Bardzo. Słyszę.

Obaj uśmiechali się serdecznie, przez co Heglowi otworzył się policzek i popłynęła strużka krwi. Okaleczony koń Kurta gapił się ponuro na braci, dopóki Hegel nie przypieczętował jego losu łomem, a siekiera Manfrieda nie uwolniła go od takiej ilości mięsa, że pożywiłby się nim tuzin pomniejszych mężczyzn. W rzadkim odruchu hojności bracia uznali, że pozwolą wilkom i wronom pierwszym podkraść ochłapy z pozostałych trupów, a sami chwiejnym krokiem powlekli się przez przełęcz. Noc opadła na nich niczym cień olbrzymiego sępa.